



Vol. 19, No. 3

THE TATRA EAGLE

JULY, 1966

LIST Z ZAKOPANEGO

WŁODZIMIERZ WNUK



**KLUB
LITERACKI
POD
GIEWONTEM**

KIEDY razem ze Stefanem Otwinowskim udaliśmy się w niedzielę 24 kwietnia do Zakopanego na zebranie, w wyniku którego miał powstać pod Giewontem Klub Literacki, nie mogliśmy przewidzieć tego wszystkiego, co nas spotka. A spotkały nas rzeczy, o których filozofom sceptycznym nawet się nie śniło.

Zajechaliśmy autem w południe, a mając trochę czasu przed zebraniem, śmigaliśmy do Kościeliska odwiedzić gazdującego tam od urodzenia Stanisława Nędzy-Kubińca. Nie było go niestety w domu, bo już wcześniej wybrał się do Zakopanego, niewiele tedy myśląc, jechał ku Dolinie Kościeliskiej leżącej opodal. Dzień był cudownie słoneczny — dolinę zieloną od trawy i liliową od krokusów zamykały od południa białeśniekie, ośnieżone góry — czuło się, jak nigdy, „wiosenny, chłodny wiatr” lejący „ku śnieżnym szczytom Tatr”.

I właśnie tam, na przechadze w Dolinie Kościeliskiej, spotkaliśmy jednego z tych, z którymi byliśmy umówieni na popołudniowe zebranie. W białej koszuli, z mośną parzenicą na piersiach, w bukowych portkach przepasanych starodawnym, szerokim opaskiem, z kapeluszem góralskim na głowie, witał nas pośrodku doliny szeroko otwartymi ramionami. On, poeta podhalański, piszący jedynie gwara, nie posiadał się z radości, że spotkał tak niespodziewanie — i w takim miejscu — „pana prezesa Otwinowskiego”, od którego otrzymał zaproszenie na dzisiejsze zebranie. Wyjawszy z kieszeni koszuli kopertę, a z niej karteluszek z nadrukiem „Związek Literatów Polskich, Oddział w Krakowie”, mówił do nas: „To dla mnie największy zaszczyt, to, żeście o mnie pamiętali, żeście mnie zaprosili”. A potem, kiedyśmy wędrowali najpiękniejszą z tatrzańskich dolin, wspominając swoją ciężką młodość i twardą szkołę życia — znam go niemal od dziecka, mogę to potwierdzić — machnął z fantazją ręką: „Co mi to dzisiaj, warto było to wszystko znieść i przecierpieć, byle doczekać tego, co ja do czekałem: że dziś drukują moje wiersze w gazetach, że niedługo ukąże się one w antologii, że mogą się uważać za waszego koleżkę”.

Patrzyłem ukradkiem na Otwinowskiego. Kto go zna, wie dobrze, że nie tak łatwo się wzrusza. Zdawało mi się, że tym razem...

Po południu odbyło się zebranie w „Swarnej”. Tak się nazywa nowa świetlica Związku Podhalań przy ul. Kościuszki 4, najbliższym sąsiedztwie starego lokalu. Świetlica w stylu regionalnym, nawet arcyregionalnym, bo każdy w niej sprzęt, mebel i szczególnie jest stylowy, podhalański — nawet kaloryfery są osłonięte ozdobną kratownicą — na ścianach obrazy na szkiele Heleny Roj-Ciaptakowej, oryginalne inkrustacje Eweliny Pękowej, u powały kute w żelazie lampiony, przemysłnie i misternie „wyzdajany” kącik na radio i telewizor, na tyle jednak przestylizowany, że budzi zastrzeżenia samych gospodarzy sali. W sumie — wymarzone miejsce dla spotkań braci literackiej Podhala, zwłaszcza że połowę niemal tego bractwa stanowią ludowi pisarze podhalańscy. Z myślą o nich Związek Podhalań wydzielił w obrębie „Swarnej” małą, przytulną „wyżkę” (rodzaj antresoli) z szafą biblioteczną, ze stołem i ławami pod obrady...

Przyszli na spotkanie bez mała wszyscy spośród zaproszonych, a właściwie to liczba obecnych przekraczała liczbę zaproszonych: i to był moment bardzo znamienity i sympatyczny. Tak wysoce cenią sobie ludzie możliwość przynależenia do Klubu Literackiego i współpracy z nim, że nawet z dalekiego Nowego Sącza przywędrował na zebranie jeden z tamtejszych pisarzy ludowych, choć organizatorzy spotkania o nim zapomnieli. A drugi moment miły sercu i chyba dziś tylko na Podhalu możliwy: niektórzy z zaproszonych zjawili się w pięknych strojach góralskich! Zjawili się w nich znani poeci i gwędziarze: Adam Pach i Stanisław Gąsienica-Byrcyn z Zakopanego, oraz Andrzej Florek Skupień z „obdalonego” przysiółka, ze Stołowego. Nie brakło i ulubionej poetki podhalańskiej, Hanki Nowobielskiej z Białki Tatrzańskiej, a także czołowego pisarza ludowego w Polsce — choć on jest jednocześnie pisarzem ogólnonarodowym — Stanisława Nędzy-Kubińca z Kościeliska, już od lat przedwojennych członka Związku Literatów Polskich.

A obok nich i razem z nimi, pisarzami góralskimi, zasiadli przy wspólnych ławach: Maria Kaspro-wiczowa, czyli „Pani Marusia”, zawsze pełna energii i pogody ducha kontynuatorka najwspaniał-

(Dokończenie na str. 3)

Tatranski Gazet

ISSUED QUARTERLY BY THE POLISH
TATRA MOUNTAINEERS ALLIANCE,
CIRCLE XI OF PASSAIC, N.J.

CO-EDITORS: THADDEUS V. GROMADA,
JANE KEDRON

TECHNICAL EDITOR: HENRY P. KEDRON

EDITORIAL STAFF: JOSEPH W. KARCZ,
DR. E. JABLONSKI, TERRY GROMADA

EDITORIAL ADVISOR: JAN W. GROMADA

STAFF PHOTOGRAPHER: H. P. KEDRON

Address all correspondence to:
Jan W. Gromada, 264 Palsa Avenue
East Paterson, New Jersey

Subscription rate:

\$1.00 per year in the U.S.

\$1.50 per year to Canada, Po-
land and all foreign countries.

PATRONAT

Ks. A. Kowalski, Trenton, N.J.
Ks. E. Bohula, Chicago, Ill.
Ks. E. Gacek, Endicott, N.Y.
Prezes Zw. Podh. w Am. A. Wróbel
Chicago, Ill.

J. Golanka, Bradenton, Fla.
Zarząd Główny Zw. Podh.
Chicago, Ill.

Klub Przyjaciół Zw. Podh.
Chicago, Ill.

Koło 2 Wł. Orkana, Chicago, Ill.
Koło 8 Im. Gen. Galicy,
Chicago, Ill.

Stow. Podh. Koło 2 Zw. Podh.
Chicago, Ill.

Koło 3 Im. Morskie Oko,
Chicago, Ill.

Younger Members Kościusko Foun-
dation, New York, N.Y.

Polonia Technica, New York, N.Y.

K. Kasprzak, Chicago, Ill.
W. Fiorek, Chicago, Ill.

J. i G. Topór, Chicago, Ill.
H. Augustyn, Chicago, Ill.

W. Gacek, Utica, N.Y.
F. Błazończyk, Chicago, Ill.

Jan S. Gacek, Utica, N.Y.
W. Korzeniowski, Toronto, Can.

J. Dzielawa, Chicago, Ill.
A. Błazończyk, Chicago, Ill.

F. Kwak, Chicago, Ill.
W. Stopka, Vancouver, Can.

J. Kopinski, Chicago, Ill.
J. Kowalski, Chicago, Ill.

A. Lassak, Elbert, W. Va.
Frank Bittner, Pennsylvania

R. Tlapa, Chicago, Ill.
R. Szłowski, Brooklyn, N.Y.

J. Łapka, Garfield, N.J.
A. Łapka, Garfield, N.J.

J. Habina, Dunbar, Pa.
J. Krózel, Chicago, Ill.

B. Dąbrowski, Allentown, Pa.
A. Kluś, Chicago, Ill.

M. Smith, Chicago, Ill.
M. Gacek, Utica, N.Y.

A. Dyrcoń, So. Porcupine, Can.
T. Rajkowski, Clifton, N.J.

University Club of Hackensack



Jak w poprzednich latach tak w tym roku Związek Podhalański w Chicago brał udział w wymarszu 3cio majowym. Powyższe zdjęcie przedstawia wspaniały rydwan Zw. Podh.

(-Fot. F. Las)

Przed Sejmem Zw. Podh. w Am.

JAN W. GROMADA

W poprzednim numerze "Orka" podaliśmy krótką notatkę o trzynastym Sejmie Związku Podhalański który odbędzie się w okresie święta Labor Day w dniach 3 i 4 września w Domu Związku Podhalański w Chicago. W związku z tym wydarzeniem warto, choćby na chwilę podumać o tym, czego Związek Podhalański dokonał w ciągu swego istnienia i zastanowić się nad zadaniem jakie stoi przed przyszłym zarządem.

Wprawdzie, pięknie się skłysz że długi jakie były na Domu Podhalańskim powoli topnieją i brać podhalańską ponoć się rusza przed sejmem, choć to poruszenie dalekie jest od Chochołowskiego. Ale to jeszcze nie dość bo jak dotąd nie udało się nam wprowadzić w czyn wskazania Orkana, który nawet w małej grupce Podhalański chciał widzieć całe Podhale. Rozdzielanie się i przelewanie członków z kół do klubów, choćby i podhalańskich, nie powiększy Związku Podhalański ani sprawy góralskiej.

Tu potrzebna nam przede wszystkim zgoda i zrozumienie, a później wspólna akcja, wciągnięcie w szeregi naszej organizacji nie tylko nowo-przybyłych z Podhala ale i tych wszystkich co do tej pory chodzą luzem, a przedewszystkiem młodzież i inteligencja tu zrodzona i wychowana. A sprawy tej nie roz-

wiązają praktykowane dotychczas skontesty werbunkowe. Tu potrzebna byłaby rzetelna i mądra propaganda poparta dobrą robotą aby móc zainteresować i przyciągnąć tych ludzi do watry podhalańskiej.

Związek Podhalański musi wyjść poza zwyczajowe imprezy które ograniczają się do zabaw i pikników. Przy zachowaniu tych tradycyjnych imprez trzeba by pomyśleć czymś co by miało orle skrzydła. Naszym zadaniem jest zanieść dorobek Podhalański wszędzie, tam gdzie się znajduje choćby jedna rodzina góralska, pokazać tradycje i kulturę podhalańską nie tylko swoim ale i obcym, orać u góry bez wytchnienia, wychować młode pokolenie na nutę podhalańską i wreszcie tworzyć, budować coś nowego i piąć się w górę jak nasze Tatry.

Z każdym rokiem Związek Podhalański powinien kłaść coraz większy nacisk na problem młodzieży. Już dziś zdarza się że drugie i trzecie pokolenie stoi poza odgrębem spraw podhalańskich, a sprawa jest do uratowania przez wpływ domu i przez właściwe rozwiązanie idei zakładania szkółek i zespołów tańca, pieśni i muzyki.

W szeregach Zw. Podhalański znajduje się spora liczba chętnych działaczy zawsze skorych do pracy

(Dokończenie na str. 7)



Andrzej Florek-Skupiń w swojej pracowni na pięterku rodzinnej chałupy na Stołowie.

(Dokończenie ze str. 1)

(Fot. R. Petrycki)

szych tradycji literackich Zakopanego; Jan Sztudynger, poeta i fraszkopisarz sławny w całej Polsce, mieszkający pod samą skocznia na Krokwi; Józef Kapeniak, zakopiańczyk z urodzenia, autor głośnego cyklu „Ród Gąsieniców” i wielu innych książek o tematyce podhalańskiej; Lucyna Sieciechowiczowa, wielkopolanka, która stała się podhalanką z umiłowania, autorka cennych powieści historycznych. Zabrakło jedynie Edwina Jedrkiewicza, zamieszkałego na wysokiej grapie w Poroninie, skąd nie tak łatwo było zapewne wybrać się w drogę sędziemu pisarzowi. Nawiasem mówiąc: tych sześciu pisarzy, członków Związku Literatów Polskich, mieszkających stale w Zakopanem i okolicy, starczyłoby formalnie na założenie w Zakopanem Oddziału ZLP. Na co nie mogą sobie pozwolić takie miasta wojewódzkie, jak Białystok, Rzeszów, Kielce, w których z braku pisarzy istnieją tylko kluby literackie.

Trzeba przyznać, że instytucja klubów literackich jest szczęśliwie pomyślana. W myśl bowiem regulaminu mogą do takiego klubu należeć nie tylko członkowie ZLP, zamieszkali w danym terenie, co zrozumiałe samo przez się, ale i osoby uprawiające działalność literacką bądź mające kwalifikacje po temu, aby upowszechniać kulturę literacką w społeczeństwie. Przy takim założeniu Zakopane miało większe dane po temu, aby mieć u siebie klub literacki — na co zwróciłem uwagę zagajając spotkanie — niż jakiegokolwiek inne z mniejszych czy nawet średnich miast polskich. Bo obok wymienionych wyżej członków ZLP i pisarzy ludowych, Zakopane ma całą stawkę ludzi piszących — i to dobrane piszących — nie mówiąc już o znakomitych prelegentach i organizatorach życia kulturalnego. Takich, jak zasłużona seniorka miejscowych pisarzy, Jadwiga Roguska-Cybulska, jak kierowniczką Biblioteki Miejskiej i organizatorka słynnych „Czwartków literackich”, Zofia Millerowa, jak małżeństwo Zofii i Witolda Paryskich, autorów wielu cennych dzieł o tematyce tatrzańskiej, jak Tadeusz Staich, pisarz, przewodnik tatrzański i niestrudzony, gawędziarz i

prelegent w jednej osobie, jak Krystyna Słobodzińska, kierująca referatem Kultury Prezydium MRN w Zakopanem, współautorka „Szopki Zakopiańskiej” i spiritus movens wielu akcji kulturalno-artystycznych pod Giewontem, jak młody poeta Tomasz Gluźniński, wżeniony na dobre w góralczyznę (dosłownie i w przenośni).

Wszystkie te trzy odłamy zakopiańskiej czy raczej podhalańskiej społeczności literackiej spotkały się w świetlicy Związku Podhalan, by zrobić to, co już dawno zrobić należało: złączyć się w jedną placówkę, w jedno ognisko, w jeden prawdziwy, a nie tylko tzw. klub literacki. Witając wszystkich miłych gości w „Swarnej” — miałem zaszczyt przewodniczyć obradom od początku do końca — czulem się z jednej strony przedstawicielem zarządu Oddziału Krakowskiego ZLP, z drugiej jednak strony byłem przecież, jako rodowity zakopiańczyk, u siebie w domu... Właściwy, par excellence literacki i klubowy zarazem ton całemu spotkaniu nadał prezes zarządu Oddziału Krakowskiego ZLP — Stefan Otwinowski, którego przemówienie, iskrzące się od finezyjnego dowcipu a także dobrze rozumiałych point, zostało przyjęte przez zebranych z wielkim aplauzem.

Uchwalono jednomyślnie powołać do życia „Klub Literacki w Zakopanem przy Krakowskim Oddziale Związku Literatów Polskich” (tak brzmi oficjalna nazwa). Prezesem Klubu został wybrany Józef Kapeniak, członkami Zarządu: Andrzej Florek Skupiń, Tomasz Gluźniński, Witold Paryski, Tadeusz Staich. W skład Komisji Rewizyjnej weszli: Zofia Millerowa, Stanisław Nędra-Kubiniec, Zofia Sztudyngerowa, w skład Sądu Koleżeńskiego: Maria Kasproviczowa, Adam Pach i Jan Sztudynger.

Ponieważ łącznikiem między Klubem a Oddziałem ZLP w Krakowie ma być niżej podpisany, żyć by należało Klubowi — i sobie — powodzenia na placówce, która zobowiązuje. Bo żyli, mieszkali i działali w Zakopanem — a niektórzy zostali tu nawet na zawsze — Witkiewicz, Sienkiewicz, Tetmajer, Żeromski, Kasprovicz, Witkacy, Makuszyński, Brandstaeter, L. H. Morstin...

ANTONI LITWIN

Kraków



ANDRZEJ FLOREK SKUPIŃ — NASTĘPCA SABAŁY

Z Tatrami otoczonymi aureolą czaru i poezji łączy się tysiące legend i baśni, których bohaterowie żyją dziś już zaledwie w pieśniach ludu podhalańskiego i wieczornych gawędach góralskich.

Zbocza górskie, dziś gęsto zaludnione, stanowiły niegdyś doskonałą ochronę dla rozmaitego rodzaju ludzi skłóconych z prawem, a szukających tutaj ochrony i przytułku przed śmiercią. W tych warunkach wyrastały w ciągu wieków legendy, fantazje, anegdoty, powiedzonka owiane nie tylko smętkiem, ale i specyficznym humorem.

Humor ten zaszczytnie dziś reprezentuje Andrzej Florek Skupiń ze wsi Stołowe k. Poronina, samorodny poeta i piewca Tatr, życia i obyczajów góralskich.

Ten następca Sabały cieszy się dużą popularnością za swój dowcip i pogodny humor płynący z szerokiego poglądu na świat i z uosobienia. W jego opowieściach i bajkach dominuje nastrój pogody i dowcipu co wraz z myślą filozoficzną, ubraną w poetycką formę, nadaje im wysokiej wartości.

Humor Floraka Skupienia jest przepełniony głęboką zadumą nad życiem. Nacechowany jest on tą miłą i naturalną rubasnością, która nie zna dwuznaczności kalamburów i niczyich uczuć nie obraża. Stopień rubasności umie Florek Skupiń dostosować do słuchaczy.

Gazda-poeta często schodzi z gór, aby prowadzić wieczory, w których kulturuje piękny folklor ludowego Podhala. Takich spotkań-wieczorów odbywa rocznie od 50 do 60 i zyskuje zawsze entuzjazm publiczności.

Ale Florek Skupiń to także wielki i niezmordowany społecznik. Działa w Gminnej i Powiatowej Radzie Narodowej, pracuje jako opiekun zabytków Podhala. Jako korespondent rolny Głównego Urzędu Statystycznego jest posiadaczem złotej odznaki GUS-u za długoletnią i honorową pracę. Ostatnio Rada Państwa nadała gawędzie-społecznikowi Złoty Krzyż Zasługi. Andrzej Florek Skupiń jest również członkiem Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy, którego siedziba mieści się w Lublinie. Podobno dr Jan Szczawiej, wiceprzewodniczący wydz. kultury i sztuki w NK ZSL i pisarz z Lubelskiego, opracowuje „Antologię współczesnej poezji ludowej”, która zawierać będzie utwory wszystkich 75 żyjących i tworzących współcześnie znanych poetów ludowych z terenu całej Polski, a wśród nich znajdują się również poezje Andrzeja Floraka Skupienia.

W związku z uroczystościami milejnymi A. Florek Skupiń przygotował dla czytelników i sympatyków Oddziału Tygodnika Ilustrowanego „Za i przeciw” w Krakowie prelekcję pt. „Podhale i jego gawędy w Tysiącleciu”.

Podhale!

Jednajcie nowych prenumeratorów!

Ledwo tylko pierwsza żona Johyma Walczaka zza młaki zamknęła oczy, zaraz on się za drugą obzierać począł, będąc chłopem nie-starym i gospodarstwo mając hrube, które gaździny potrzebowało: i dzieci po nieboszczce zostały, pięcioletnia Zosia i ośmioletni Jaś. Ale macocha, która skądś ze Skrzypnego wziął, dziewczka młoda i łakoma, wszystko by była chciała dla córki, którą miała z jednym parobkiem ze swojej wsi, zagarnąć i tak źle usposobiła do tych dzieci męża, że całkiem dbał o nie przestał, majątek cały na żonę i jej potomstwo przepisał i tylko tego im wydrzeć nie zdołała, co po matce zostało. Ale tego było dobrze jeszcze lepiej niż ojczyzny, bo pierwszą żonę z okolicznej obory Walczak wziął, od Sobczaków, i to ojcowiczkę, więc jeszcze i tak bogaci byli niezmiernie.

Byłaby macochai biła, ale kiedy raz złapała małą Zosie za warkoczyk i w buzię ją uderzyła, a Zosia zaczęła płakać: Jaś sajta spod pieca tak macochę zdziesiął przez rękę, że jej jak martwa opadła. Zawrzaska, porwała za pucel i rzuciła sieku Jasiowi, ale ten stał śmiało ze sajta w rękę, nie ustąpił, a oczy mu sie tak zdarzyły, że sie przelęknął naprawdę. Jak go nie zabijem - pomyślała - to on mnie... A jakby nie teraz, to jak dorosnie...

I nie śmiała go uderzyć, a Jaś do niej wtedy: Wiecie, jakbyście kie jescie tknieni Zosie, to wam syćkie zemby skałom wybijem, a wasom Jagnisie z kokyski wyjmiem i dom świni zjeść.

I od tego czasu iskrzyła się baba złością na dzieci, wymyślała przezywała, ale bić nie śmiała; a więcej jeszcze nienawidziła Zosi niż Jasia, za to że była ładniejsza od jej obu córek, tej z parobkiem i drugiej z Walczakiem.

A że dom Johyma zza młaki stał obdalno ode wsi, Jaś i Zosia ze sobą tylko najwięcej byli i strasznie sie to rodzeństwo kochało. Mało kto kiedy jedno bez drugiego widział. Jaś by sie był dał za Zosie porębać, a Zosia by sie była dla Jasia we wodę ciskała.

Tymczasem oni rośli i wyrośli. Jaś na parobka, a Zosia rosła za nim na dziewczkę. Podani byli na siebie jak ulał i ładni, jak to we Walcackim rodzie: chłopcy śmigre, zgrabne, hardej postawy, noga prosta, stopa mała, taneczniczy pierwi, a na twarzy przystojni, suchej urody; dziewczki samo to,

O Zosi Walcackównie

Kazimierz Przerwa-Tetmajer



błękitnych, dużych oczu i różnanych ust, jak kwiat.

Pewnego razu do karczmy na Ustupie, gdzie Jaś tańczył, wszedł Capek z Capkówki z obcym chłopem, ogromnej postaci, z włosami dobrze niżej ramion spadającymi, z twarzą w bruzdy poraną i szeroką rysą od topora przez prawelico. W mig zrobiło im się miejsce za stołem; uchylił siekaczy. Bo to byli dwaj słynni zbójnicy, Izidor Capek z Capkówki, po zbójceku zwany "Kozia", i Maciek Nowobilski, sołtys z Biaków, zwany pomiędzy zbójnikami "Prawo", jakby na despet, a między ludźmi "Krzesaty". Siedli za stół i kazali sobie dać gorzałki. Wypił "Prawo" półkwaterek blaszany i obrócił na stole dnem do góry, ale jakoś żaden z siedzących za stołem tego samego nie uczynił. Odwrócił się Maciek z lekkim ruchem lekceważenia i wzrok jego padł na Jaśka Walczaka, który tańczył. A właśnie tańczył on hajduckiego i muzyka grała mu.

Popatrzył Maciek mimochodem, ale wnet wzrok mu sie ożywił i na chłopcu zatrzymał. Okiem znawcy śledził on jego ruchy, oglądał naprzód nogi, potem pierśi ramiona, potem głowę. Patrzył i parę razy pokręcił głową. A Maciek Nowobilski "Prawo" głową nie bardzo kręcował, bo on znał świat od Budzyna po Kraków, znał siłanarodu, a w tym chłopów, którzy kiedy powstałi, to sie zdawało, że świat oznesom. A i sam do najprędniejszych należał, siłę miał wołu, a zręczność i lekkość sarny jeszcze i dziś, choć już blisko pięćdziesiąt lat liczył. Więc kiedy on nad Jaśka tańcem głową pokręcił, to jo jus wej beł tonieć!

I pyta sie Capka, wskazując ruchem czoła: Cos to za jeden?

- Johymów Jasiek, za młaki.

- Swarny hłopiec.

- E dy tu nie mas lepszego, krzesny ojce.

- Kaz mu iść za karcymę. Nie uważuje, kie dwa razy tyrkne półkwatere w stół.

Jasiek taniec skończył; podsunął się ku niemu Capek i comu Nowobilski polecił, powiedział. Zabiło i ucieszyło się Jaśkowe serce, bo że to Krzesaty Nowobilski, nie wiedział, ale imię jębo znał i czcił, jak czić potęgę należy.

I stanął za karczmą przed Nowobilskim, czerwony od wrażenia, choć zawsze blademiaklica, i aż dygotał, tak mu serce biło. A Nowobilski jeszcze raz uważnie mu się przypatrzył, zmierzył okiem jego wzrost wysoki, szerokość ramion, piersi, wcięcie w stanie - i ozwał się:

- Hłopiec, sełbyś se mnom?

- Zje ka?

- Poza bucki.

Zajarzyło się Jaśkowi w oczach. Mało nie oparł się plecami o ścianę. Takiego honoru w życiu sie nie spodziewał.

- Sełbyś?

A Jasiek uchwycił Krzesatego za rękaw od czuchu i pocałował go niżej łokcia.

- Pude - rzekł.

- Dobrze. Git. No to go ty, Capek, przyryktuj. O pieńć dni idzieme. Ciupaga, nozy, piscolce,

torba. Co ci hybia, to ci dame. Aleś ty nie z płonego gazdostwa, to ta syćko musis mieć. Odzienie piękne, to, co dziś. Ja idę teraz do Skodycków, bo mnie hań strasnie pięknie pytał kiejś Józek Skodycka na burse, co jom dziś robiom. Ostań z Pane Boge, Capek. Bydź zdrowy, hłopce. Ale to wiedź: próba będzie. A cicho!

Jasiek już nie wrócił do karczmy; siadł poza nią na zwalonym pniu, a w głowie mu się zawracało. Werbował go do swojej bandy Maciek Nowobilski, on, harnaś nad harnasie... Jakaz to musi być moc, skoro on samemu Capkowi, który ma już więcej niż czterdzieści lat, a przed którym świat się trzęsie, mówi: ty!... A i próba wstrzymawała mu bicie serca w piersiach.

Przez cztery dni nie Jasiek nie robił, tylko z kim mógł, za pasy szedł, skakał przez płoty i potoki, za psami sie uganiał, ciupagą gałęzie w locie obcinał. Zdawało się, że zwariował. - Głupie cy co - zapytywali się sami siebie ci, co go widzieli skaczącego i biegnącego.

- Abo o zbójectwie meśli?

- E, teli majontek ma. Zje po co by ten seć kraść? Heba by jemu wto ukraść przisek.

- Hej, ale hłop zdrowy, mocny, to go matura biere.

I piątej nocy od widzenia się z "Prawem" zniknął Jasiek i nie powrócił aż we dwa tygodnie. Próbe odbył świetnie.

- Dojńdzie nas wszyćkik w syćkiem - ocenili zbójnicy. - Heba wasej siek, "Prawo", mieć nie będzie, bo takom siekom to zaś Pan Bóg z rzadka kogo pożegna.

I przez dwa lata chodził Jasiek ze zbójnikami. Dostał on przydomek "Młako", od tej młaki, co za ich izbami była, zbójnicy go lubili bardzo, choć traktowali trochę z góry, bo wszyscy byli starsi, i najmłodszy, Stasek Mocarny, miał już dwadzieścia siedm lat, a wszyscy wiele dali dowodów męstwa, rozumu, chytrości i siły, od ośmiu lat związani w bandę pod wodzą Maćka. Z tej bandy, liczącej ludzi sześciu, bo więcej uważał Nowobilski za niedoskonałe, ubył Juro Osterwa, rodem ze Spiżu, młody kawaler, którego zdradziła jego kochanka, niecna Kaśka z Buśtryku.

Na jego miejsce od roku już poszukiwał Maciek Nowobilski zastępcy i znaleźć nie mógł. Nie każdy też, choć i tęg, i śmiały chłop,

miął ochotę ku Maćkowi przystać, bo tam: nogi trza beko mieć ze żelaza, u ramion skrzydła, grzbiety ze stali, rence zmosiondu, a głowę z miedzi z pięci oknami - co znaczyło, że trzeba było być wytrwałym w chodzie jak wilk, szybkim jak jelen, silnym jak niedźwiedź, a czaszkę mieć nie tylko twardą na wszelkie przygody, ale i na cztery strony świata nie dość było spojrzeć i być czujnym.

Trapiła się Jaśkiem Zosia. Bo ona była pobożna bardzo i wbrew innym dziewczętom brzydziła się zbójectwem. Michała Stanika, narzeczonego, który się w niej kochał i ku któremu ją serce rwało, że dobrze z piersi nie uciekło w Polany, gdzie Stanik mieszkał, widzieć przedtem na oczy nie chciała, póki kradać nie przestał. Stanik zresztą nigdy prawdziwym zbójnikiem nie był, tylko czasem, kiedy niekiedy, z krewnymi z dwoma Pitoniami i ze Szymkiem z Sikoniówki byczki Orawcom podbierał, a i to ją mierziło, i tego znosić nie mogła. AJasiek był cały zbójnik i podarmo on ciupagi nie brusił, przy pistoletach krzesiwnie opatrywał, nim z domu ruszył.

Ojciec się do tego nie wrażał, amacocha rada by była tylko, żeby Jasiek nie wrócił, boby wtedy za wszystkie lata, przy pomocy córek,

Zosię naprzd dobiła, potem z domu wygnała, a może by się ją i tak czy inak i z majątku wyzudało.

I modliła się Zosia dniami i nocami o nawrócenie Jaśka i za jego zbawienie i to jeszcze większa pobożność w niej rodziło. Ale nigdy Jasiek nawet z nią nie mówił, gdzie chodzi. Bolało to Zosię niezmiernie, jednak jej dumne serce nie pozwalało gwarzy z Jaśkiem zaczynać. Jego zaś młoda dusza radowała się sławą, jaką kołoniego rosła, podziwem i zazdrością, z jakimi nań spoglądali chłopcy, uwielbieniem i upragnieniem, z jakim nań patrzyły dziewczki. Jedynym cierniem tej sławy było to, że czuł, że Zosia się martwi, i jeszcze okrutnie - ale się przeprzeć nie mógł.

Ale razu pewnego, jednej nocy czerwcowej, przysniło się Zosi, że widzi głowę Jaśka toczącą się po skale, od szyi odrąbaną. I przytoczyła się ta głowa pod jej stopy, zatrzymała chwilę i spojrziała na nią, jakby coś powiedzieć chciała, aniemogła, i potoczyła się od jej nóg w przepaść, i zginęła w ciemnościach.

Ten sen, który nieochybnie źle znaczył, tak przeraził Zosię, że mówić z Jaśkiem postanowiła.

(Dokończenie nastąpi.)

NIE MA PO CO *Andrzej Galica*

NA GŁADKIM w Zakopanem siedział stary Krzys z kumotrem Gąsienicą na przybie. Siedzieli i pozerali to na Giewont orzówiony zachodzącym słońcem, to na Zakopane, co się coraz bardziej rozbudowywało. Krzys już miał blisko czterdziest lat, a Gąsienica nie chadzał. Casem za młodu wychylał się za koczami na lipowską stronę i o tym nieraz między swymi cuda opowiadał. Gdzie indziej nie był. Raz ino przez całe życie w mieście a dwa razy w Zakopanym, jak jesse polaną była.

Tak też dziś, siedząc z kumotrem Gąsienicą powiada:

— Tak to życie ciekawie schodzi w tej robocie przy chałupie, że niby to Zakopane nie obdalone, a jo ledwie dwa razy w nim był. Spozierom hań co dnia i widzę jak hań tych budynków coraz przybywa, a ciek nie wie, cyje to, jak i co. I co dnie sobie obiecuje, że hań jesse raz przed śmiercią zajrę, ale tak schodzi.

— Nie ma po co — odrzekł kumot Gąsienica — jo hań dość często przyjeżdżom, ale Krupówką omijom, bo hań takie budy popostawiali i to jedne na drugiej, że mi się koń boi, kiedy koło nich jadę. Wolę je omijać i jechać popod regle.

— E, nie radźcie — rzecze Krzys zdziwiony — przecie hań nasi budorze musą budować.

— Dyć nasi, ale ich ci światowcy tak skołowali, że juz i oni całkiem pogłupieli. Jedyń Ustupski sie nie daje.

— Ho, bo to majster, swój honor trzyma.

— Jak Towarzystwo Tatrzaniekie stawiało schronisko przy Morskim Oku, to Ustupski,

dobrze zgodzony, odstąpił od tej roboty i nie chciał tej budy kończyć, bo go musieli robić taki światowy dach.

— Tak, to honory cieśla.

— On teraz tu nie buduje. Poprzedał swoje budynki i posedł w świat... A inni budują i budują. Robi sie dubelt miasto, a brzydkie, ze strach patrzeć.

— Ale hań ludzie z dalekich światów przyjeżdżają — zauważył Krzys.

— Przyjeżdżają, ale nie dla Zakopanego, ino dla gór, dla tego Giewontu, co się do nos śmieje. Przyjeżdżają, ale co za ludzie teraz. Zebyscie ich widzieli, tobyście się naprowdę zdziwili.

— Jak to?

— To półnagie chodzi, a baby w portkach.

— E, nie radźcie — cudował się stary Krzys.

— Naisię, chodzą w portkach po Krupówkach i ino tymi dupkami kręcą. Nie ma hań po co teraz chodzić i casu mitrzyć.

— No wicie, wicie — a tak sobie obiecywołem co dnia, że hań jesse zroz przed śmiercią zajrę, ale jak tak.

— Mówię wom — nie ma po co, chyba po to, by wom żydowska na Krupówkach tyłkiem popod nosem pokręciła.

— No, no — to widać nie ma hań po co juz zazierać — westchnął stary Krzys. Zadał się i spozierając na stronę cmentarza, to na orzówiony słońcem zachodzącym Giewont. Łza zaślinała na jego swym, zblakłym juz oku.

— Tak, nie ma po co... powtórzył z jakimś dziwnym zalem sam do siebie.

Polska a Słowaczyna w X i XI w.

WŁADYSŁAW SEMKOWICZ

(Drzeworyty Władysława Skoczylasa)

Potężny wal karpacki, oddzielający niegdyś Polskę od Węgier, nie stanowił nieprzebytej zapory między tymi krajami. Łagodne stoki górskie, liczne przełęcze oraz przełomy Dunajca i Popradu ukatwiły ludom od najdawniejszych czasów komunikację przez Karpaty. Rzecz znamienna, że ekspansja osadnicza szczepów, które przed wielu wiekami obsiadły zewnętrzne stoki łuku karpackiego, wykazuje na całej przestrzeni tendencję dośrodkową, w kierunku jego ogniska. Szczepy te: Rumuni, Rusini, Polacy i Słowacy posuwając się w górę strumieni, spływających po zewnętrznych stokach gór, z łatwością osiągnęły ich lesisty grzbiet, aby następnie wszędzie przedostać się na wewnętrzną stronę Karpat i promieniami dunajcowych dopływów zmierzać ku nizinie węgierskiej.

W Beskidzie zachodnim, na Śląsku górnym, dolina Olzy, wododziału przełęcz Jabłonkowskiej, obniżającej się na grzbiecie górskim do 551 m., ukatwiła przejście na drugą stronę łuku karpackiego w dolinę Kisucy i Wagu, którego szeroka dolina, stanowiła zdawna doskonałą drogę z podnóży karpackich w kierunku Dunaju. Ku tym też rzekom wiodły głęboko wrzynające się stoki Beskidu doliny Soły i Czarnej Wody. Dalej na wschód przełęcz sieniawska prowadziła z doliny Raby i Skawy w dolinę Crawy. Najbardziej jednak ukatwiła przejście przez Beskid przełom Dunajca i Popradu, tedy też wiodł odwieczny szlak z Polski w nizinie węgierską.

Otóż temi przełęczami i przełomami płynął przed wiekami prąd osadniczy z Polski na górne Węgry, krzyżując się tam z drugim prądem, słowackim, który szedł od zachodu i południa. Trzeba uznać za wysoce prawdopodobne, że szczepek lechicki przenikał na górne Węgry w czasach, poprzedzających jeszcze powstanie państwa polskiego. Osadnictwo to było rzeczywiście rzadkie i sporadyczne, ale było. Zwiększa porzecza Dunajca i Popradu, jako należące do obszaru Wisły, stanowiły naturalny teren osadniczy lechickiego szczepu Wiślan, który zasiedliwszy górną Wisłę, dolinami jej dopływów posuwał się w głąb Karpat i tedy najłatwiej przedostał się na drugą stronę gór.



Pierwsi Piastowie, zmierzający do połączenia wszystkich plemion lechickich w jedno państwo polskie, skierowali swoje podboje śladem dawnego osadnictwa także w kraje zakarpackie. Cała dzisiejsza Słowaczyna weszła w skład państwa polskiego już w najwcześniejszej dobie jego istnienia. Podboje Bolesława Chrobrego, sięgające po wszystkie obszary, dotknęły stopą osadnika lechickiego, oparły z końcem X w. granice polski o Dunaj i Cise. Fakt ten nie ulega wątpliwości a stwierdzają go niezawisłe od siebie najstarsze źródła historyczne, polskie i węgierskie, jak kroniki: Galla, wielkopolska i węgiersko-polska. Ta ostatnia wcale dokładnie określa granice Polski na Węgrzech około roku 1000. Dochodziły one wówczas na południu do Dunaju, biegły popod Ostrzyhom, stąd zaś krajem nizin węgierskiej koło Jagieru (Eger) do Cisy a dalej obok rzeki Ciepłej do głównego grzbietu Karpat w okolicy grodu Halicza, leżącego na górze tej nazwy pod przełęczą Użocką, gdzie się schodziły stare granice Polski, Rusi i Węgier. Nie ulega wątpliwości, że śladami wojsk Chrobrego szli osadnicy polscy, inaczej bowiem niemożna byłoby pomyśleć o utrzymaniu zdobyczy. Źródła wspominają wyraźnie o grodach polskich na Słowaczynie, a liczne osady polskie rozproszone do dziś dnia po całych górnych Węgrzech, są niewątpliwie pozo-

stałością po tem starem polskim osadnictwie.

Po śmierci Chrobrego straciła Polska przeważną część jego zdobyczy zakarpackich na rzecz Węgier. Granice Polski cofnęły się na linię Wagu, Niżnich Tatr i Hornadu. Stwierdza te granice z drugiej połowy XI w. dokument cesarza Henryka IV dla biskupstwa praskiego z r. 1086, wedle którego prowincja Wag czyli górne Powąże należało wówczas do ziemi krakowskiej. Śladem nowego pogranicza jest zapewne szereg miejscowości, położonych nad Wagiem o nazwach: Broniszczce, Straża, Strażka, Strażów, wskazujących, że od strony Polski umocniono te granice szeregiem grodów, których oczywiście strzegły załogi polskie. Stary gród Kraków nad Wagiem niedaleko Trenczyńna, zawdzięczając niewątpliwie nazwę swej wawelskiej macierzy, której jurysdykcja aż po połowę czasu sięgała, osada zaś Sieciechów, położona w dorzeczu górnego Wagu, pod Wielką Biczą, wiąże się z imieniem potężnego wojewody Władysława Hermana.

Dalej na wschód była granica Polski Hornad, o czem przechowała się do naszych czasów wiarygodna tradycja, zapisana niezależnie przez węgierskich i polskich badaczy. Po dziś dzień utrzymuje się też u górali naszych świadomość, że "sprawiedliwa granica polska szła na mosty gieniańskie" to

jest opadł miasta Goncz nad Hornadem poniżej Koszyc.

Ta granica Zakarpaciapolskiego przetrwała do początków wieku XII. Dalsze kurczenie się jej było pośrednio następstwem osłabienia Polski skutkiem testamentu Bolesława Krzywoustego, który spowodował rozpadnięcie się jednolitego dotąd państwa na szereg dzielnic, zbyt słabych, by utrzymać swe kresy wobec przeważającej potęgi państw sąsiednich. To też wokresie tego rozbitcia dzielnicowego Polski sąsiedzi odrywają z naszych kresów pięćdziesiąt po pięćdziesiąt, bądź drogą gwałtownych zaborów, bądź też drogą systematycznej kolonizacji. Tym sposobem w słabo osiedloną, a miejscami niezaludnioną puszcze zakarpacką, zaniedbaną ze strony Polski, wdzierać się zaczęli Węgrzy którzy posługując się przeważnie żywiołem osadniczym słowackim i niemieckim, przesuwali z postępowaniem osadnictwa polityczną granicę Węgier na północ ku grzbiecowi Beskidu.

Władysław Semkowicz



DO BRACI MOIK

STANISŁAW NĘDZA-KUBINIEC

Kańsi w kómorak cisowyk, głęboko w okutyk skrziniak
schowane (klucze od nik stracone - praśnione fto wie kany)
leżom pisma królewskie, wase sołtysie nadania,
na pergaminak pisane, pieczęciami pieczętowane,
ręką królewską przibite...

Hej bocycie,

co w nik stoi?

Za wysługi, za oddane życie

omurowane wase ślebody.

Wasa ta ziem, ten las,

prawo ognia w sałasie, prawo w potoku wody,

za wysługi ojczyźnie, za oddane życie.

Obdarowali was.

Ino cy wy bocycie,

hej, wy ludzie moi?

- - - - -

Sli dziadkowie w wybranieckiej piechocie
pod drewniane tyny Połocka i Wielkie Łuki.

Nocowali w plucie i skocie.

Gineni z hetmanem na Cecorskim polu.

Błysk ik ciupag widziały szwedzkie pułki.

Sli śpiewający pod cesarski Widzień

(pańskiej husarii drogi rąbali).

Znacyli swoje chodnicki codziern

cerwonom, chłopskom krwiom...

i pokieli byli króle, brali nadania

ślebody.

Na pergaminak pisane, pieczęciami pieczętowane,

z prawem ziemie i lasu, ognia i wody -

hej cy bocycie?

Wy ludzie moi!

A kiedy brakło husarii, chrzęstu stalowych piór

w styrdziestym sóstym...

Pobrali ojce orle skrzydła i poseł okrzyk z gór:

- Polska to my!

Chłopi!

Przikryła ik Grajgóra i Kufsztajn.



PRZED SEJMEM

(Dokończenie)

ale znów bieda z tym, że ci naj-
częściej nie chcą przyjmować sta-
nowisk w Zarządzie Głównym. Uwagi
powyższe nie mają na celu doku-
czenia komukolwiek ale tylko
szczerą próbą zapoczątkowania
dyskusji któraby w dalszym rezul-
tacie doprowadziła do wyłonienia
zwartej grupy działaczy podhalań-
skich z nowym entuzjazmem i z no-
wym programem. Zapomnijmy o ura-
zach, o egoizmie, a w imię wspól-
nego dobra podhalańskiego zbierz-
my się w wielką gromadę i zacznijmy
nie tylko dumać ale z zakasanymi
rękami pracować dla tego co nam
jest najdroższe.

JAN W. GROMADA

T. V. Gromada Ph. D.



(Fot. H. Kedron)

Thaddeus V. Gromada, co-editor of the *Tatra Eagle*, received a Doctor of Philosophy degree in Eastern European History from Fordham University Graduate School of Arts and Sciences on

June 8, 1966. Cardinal Spellman presided at the 125th Commencement exercises at the University's Rose Hill Campus in Bronx, New York. Gromada's doctoral dissertation, "*The Slovak Question in Polish Foreign Policy, 1934-39*" was based primarily on unpublished documents which he found in the Archives of the Polish Foreign Ministry in Warsaw and the State Archives in Warsaw, Cracow, and Zakopane.

He graduated St. Joseph's Grammar School and Pope Pius XII Diocesan High School in Passaic. He entered Seton Hall University in September 1947 on a Bishop McLaughlin scholarship and received a degree of Bachelor of Science magna cum laude in June 1951. In September 1951 he entered the Graduate School of Arts and Sciences of Fordham University and received the degree of Master of Arts in June 1953. After spending two years in the army, he resumed

his studies and in February 1957 he was accepted for graduate study for the Doctor of Philosophy degree in the Graduate School of Arts and Sciences of Fordham University where he majored in Eastern European history under the mentorship of Professor Oscar Halecki and Professor Casimir Gecys.

He taught social studies for four years in the secondary schools of Nutley. Since 1959 he has been employed as Assistant Professor of history in the Department of Social Sciences at Jersey City State College, Jersey City. Gromada is a member of the American Historical Association, American Association for the Advancement of Slavic Studies, New Jersey College Faculty Association, Polish Institute of Arts and Sciences in America, and a member of the Polish Tatra Highlander Alliance Folk Dance Group of Passaic.

He is married to the former Theresa Michalski of Fair Lawn and has three children, Joseph, John, and Ann. Gromada is the son of Jan and Aniela Gromada of East Paterson, N.J.

POLISH HIGHLANDER COMMUNITY CENTER

3035 W. 51 St. Chicago, Ill.

Siedziba i własność Związku Podhalan w Ameryce.

Posiada dwie piękne sale i nowoczesnie urządzone kuchnie do wynajęcia na wszelkie okazje. Raz w tygodniu odbywają się lekcje śpiewu i tańców góralskich dla dzieci i młodzieży.

Zarząd Główny z Prezesem Andrzejem Wróblem i gospodarzem Domu Podhalańskiego, Genowefą Topór, apelują do wszystkich, którzy jeszcze nie są członkami, ażeby wstępowali w szeregi Związku Podhalan i popierali Dom Podhalański, który jest chlubą Podhalan w Ameryce.



DOM PODHALAŃSKI



KWAK Appliance and Furniture Co.

PIĘKNE MEBLE PO CENACH UMIARKOWANYCH.

Telewizje: R.C.A. - General Electric - Dumont - Admiral

Łodówki: General Electric - Crosley - Kelvinator

Mamy agencję wszystkich wyrobów General Electric.

FRANCISZEK KWAK

4624 So. Ashland Ave. — Telefon YArds 7-9555

Chicago 9, Illinois